



Palcem próbuję wyłuskać z dna kielicha czerwoną kroplę. Jest gęsta jak żywica. Niemal zastygła. Nęci barwą malin. Wróży słodycz. Ale gdy szczęśliwy ze zwycięstwa kładę ją na języku, okazuje się metaliczna i słona. Niedobra. Wypluwam i wystawiam język przed siebie, żeby wiatr zabrał z niego ten wstrętny posmak.

— Zbieraj się, synku, wypływamy! — Ojciec klepie mnie w ramię i krztuszę się. — No chodź, nie ma czasu!

Ciągnie mnie za rękę z przystani do chałupy. Tam już otwarte skrzynie, do których wrzuca pośpiesznie trochę ubrań.

— Tato, musimy płynąć?

— Einar, nie jęcz, spieszymy się.

Nie przerywa pakowania, szuka czegoś po kątach, klnąc pod nosem. Znajduje swoją najlepszą koszulę, chce wrzucić do skrzyni, ale w ostatniej chwili unosi do nosa, wacha i krzywi usta.

— Przydałaby się nam jakaś nowa matka, ktoś, kto by nas trochę ogarnął... — Bez namysłu rzuca koszulę w kąt. — Kupię nową!

— A nie mogłaby wrócić do nas ta, co była zeszłej zimy?

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).

— Emla? Nie, Emla do nas nie wróci. Już? Spakowany? Gdzie pies?

— Był ze mną na przystani, potem pobiegł.

— Nigdy go nie ma, jak jest potrzebny!

Ojciec wszystko robi szybko. Zakłada długie włosy za ucho, by mu nie przeszkadzały. Jedną ręką domyka skrzynie, drugą naciąga mi skórzany kaptur. Wystawia głowę przez drzwi i gwizdże na psa. Ten odpowiada szczekaniem i po chwili wsuwa wielki łeb do środka. Ojciec przykłęka przed psem i mówi do niego jak do człowieka:

— Słuchaj, stary, pan i chłopiec wypływają. Pies zostaje. Pies pilnuje. Domu, świątyni, przystani. Jasne?

Pies szczeka dwukrotnie, a potem skamle i kładzie łeb na kolanie ojca. On klepie go po podłużnym pysku i mówi:

— No, nie rozczulaj się, stary. Wrócimy przed zimą.

Wstaje szybko, omiata wzrokiem chatę i podnosi spakowaną skrzynię.

— Einar, synku, nie rozczulaj się. Obiecuję że wrócimy przed zimą. Może nawet z jakąś nową matką — mruga do mnie i już idzie w stronę przystani.

Muszę bieć, żeby za nim nadążyć. Ojciec jest bardzo wysoki i sadydzi kroki tak długie, że nawet jego płaszcz za nim nie nadąża. Już wskakuje do łodzi, już odwiązuje linę. Jeszcze oglądam się na psa, który odprowadził nas do przystani. Stoi na skale, unosi pysk, jakby sprawdzał dla nas wiatr. Równie rasowy jak Tjostar, mój ojciec.

Vikna, nasza skalista wyspa. Dom, świątynia, przystań. Nic więcej. Skała porośnięta mchem i drobnymi krzewami. Otwarta na morze, dzień i noc smagana przez wiatr. Pies szczeka.

Ojciec tak się spieszył, że zostawił mnie na przystani. Teraz wraca po mnie i minę ma taką, jakby chciał jednocześnie skłąć mnie i przeprosić. Wyciąga swoje długie ramiona i mówi:

— Wskakuj, synku. Naprawdę się spieszę. Odbijamy.

*

Przez wiele lat będę odtwarzał w myśli tę scenę, za każdym razem dostrzegając w niej coś więcej. Wtedy zapamiętuję tylko ostatni obraz: naga skała, sylwetka psa i ojciec zostawiający mnie na przystani. Dwunastoletni, sam na wyspie.

Tak już zostało.

Na razie jednak siedzę obok niego w łodzi. Patrzę, jak jedną ręką steruje. Robię się senny i opieram brodę o burtę.

— Twój ojciec ma więcej twarzy niż dziewczyna sukien — mówi Emla, mieszając w kotle zupę. Odwraca się od ognia, wyciera ręce w fartuch. Bez złości, ot, po prostu stwierdza.

To było jednej z poprzednich zim, gdy Tjostar wypłynął równie nagle jak zwykle. Obiecał, że wróci na Jul do domu, i nie wrócił. Przez posłańca przekazał nam wiadomość, trochę jedzenia i jakieś błyskotki dla Emla.

Patrzyłem, jak jej się trzęsie broda, jak pociąga nosem i płacze. Zrobiło mi się jej żal, bo była najładniejszą z moich matek i najbardziej przeze mnie kochaną. Wziąłem ją za rękę i poszliśmy z przystani do domu. Owszem, byłem zawiedziony, że Tjostar nie wróci, ale nie przejmowałem się tym tak jak ona. W końcu dla mnie to nie pierwszy raz. A Emla niech się przyzwyczai, bo inaczej trudno jej będzie z nami wytrzymać. Więc robię miny, rozśmieszam ją, ciągnę za fartuch, chcę, żeby się rozbawiła i przestała płakać. Obiecuję jej — w imieniu ojca — że jak wróci, przywiezie jej coś naprawdę ładnego. I mówię:

— Zobacz, co schował dla ciebie w tej skrzynce!

Emla wyciera nos, siadamy przy ogniu i pomagamy jej otworzyć wieko. Dwie srebrne bransolety, brosza i chusta w odcieniu mchów. Emla zarzuca ją sobie na ramiona, uśmiecha się lekko, choć nos ma wciąż czerwony od płaczu. A ja mówię:

— Ho, ho! Takich pięknych bransolet żadna matka przed tobą nie dostała. Ho, ho! Musi cię bardzo kochać.

Emla patrzy na mnie i w jednej chwili cień uśmiechu znika z jej

twarży. Zatrzaszkuje wieko skrzynki i ucieka do swojej izby. Zostaję sam, bezradny, a przecież chciałem dobrze. Idę jeszcze za nią, stukam do drzwi, ale słyszę tylko:

— Zostaw mnie! Idź sobie!

Potem, wiosną, Emla nas zostawia, a ja się gryzę, czy to przeze mnie, czy to moja wina. Tęskniłem za nią boleśnie, bo była dobrą matką, moją ulubioną. W końcu przyznałem się ojcu, opowiedziałem, jak ją rozzłościłem, niechcący przecież, a on uwolnił mnie od winy, zanosząc się śmiechem.

— Synku, Emla odeszła przeze mnie, nie przez ciebie! — Bawiło go, iż mogłem przypuszczać, że miałem w tym swój udział. — No już, mały, przestań! Świat jest pełen kobiet! Znajdę nam nową!

Jeszcze tego samego wieczoru przyprowadził dwie. Była pora wiosennego thingu*, odwiedzałyśmy więc Lade, jak zwykle. Mnóstwo ludzi, zgiełk. Piwo i miód leje się strumieniami. Za dnia obrady, ojciec pracuje, wieczorami uczy i uczy. Zawsze brał mnie ze sobą. I długo byłem jedynym dzieckiem wśród dorosłych, aż do czasu, gdy pojawiła się Thora, ale o niej później. Więc jak obiecał, tak zrobił. Wieczorem dwie dziewczyny, nawet ładne, przyszły z nim do chaty.

— Jak im na imię, tato?

Tjostar się zataczał, trochę wypił.

— Czekaj, synku, przedstawię! To Asta, a to Frida!

Dziewczyny w śmiech.

— A może na odwrót? To Frida, a to Asta? Tak lepiej, moje panie?

— Lepiej, lepiej — chichoczą.

— Weźmiemy je obie, tatusiu? — pytam całkiem poważnie i nie jestem pewien, czy mi się podobają. Ale myślę sobie, jakby tata wziął obie, to może zawsze by im było tak wesoło.

* Thing — zgromadzenie wolnych mężczyzn, które demokratycznie podejmowało decyzje dotyczące spraw państwowych, pełniło również rolę sądu. W praktyce thing przeradzał się w zgromadzenie możnych.

Ojciec prostuje się, otrząsa. Szuka pod ścianą dzbana. Leje mleko do kubka i mi podaje.

— A co, myślisz, że się nadają? — mruga do mnie, a one nagle przestają się śmiać.

— Nie wiem, tatusiu. Po Gudny umówiliśmy się, że ty sam sprawdzasz. Bo przecież żadna z tych, co ja wybrałem, nie spodobała ci się na dłużej.

Dziewczęta szturchają się i robią krok do tyłu.

— Synku, synku! Ty to masz pamięć!

— I to jeszcze, że twoje nie znikają, a moje znikają bez śladu.

— Ciii...

Dziewczyny w pisk, obracają się na pięcie i wybiegają przez drzwi. Słyszę, jak krzyczą w mroku:

— To on! To on!

Ojciec wzrusza ramionami.

— Chcesz jeszcze mleczka, mały?

— Nie, dziękuję, tatku.

Czeka, aż zasnę, i dopiero wtedy wychodzi.

Gdy budzę się rano, jest jasno. Ojciec śpi w drugiej izbie, a przy nim dziewczyna, jasnowłosa, śliczna. Siadam naprzeciw łoża i czekam, aż się obudzą.

Miała na imię Dagrún i została z nami dłużej. Po thingu zabraliśmy ją na wyspę i przez blisko rok mieliśmy wyprane koszule, świeże kaftany i naprawdę dobre jedzenie. Jak zniszczyłem buty, odkładała, i płynąc na drugą wyspę, zabierała je do szewca. Ojciec pytał: po co? On po prostu wyrzucał i kupował nowe. Dopiero zimą zaczęła zadawać coraz więcej pytań, chodzić za ojcem, dręczyć go. Jak wypływał na parę dni, wypytywała mnie o kobiety, które były przed nią. Po Emlu wiedziałem już, że one zawsze pytają, ale wolą, żeby nie mówić im prawdy. Milczałem uparcie, uśmiechając się do niej, bo chciałem przecież, żeby jej było z nami dobrze. Wtedy Dagrún się rozkleiła i opowiadała mi, jak bardzo kocha mego ojca i że wszystko by dla

niego zrobiła. Powtórzyłem mu, kiedy wrócił, i nie minęło więcej niż kilka dni, a Dagrún zniknęła z wyspy.

Nawet go nie spytałem. Popatrzyłem tylko na ojca, na psa. A on powiedział mniej więcej to, co zwykle:

— Zapomnij o niej, była dobrą matką, ale nie dość dobrą. Będziemy mieli nową. Postaram się tym razem lepiej wybrać.

Westchnąłem tylko i w głębi duszy poczułem, że mam już tego dość.

— Tato, weź nam lepiej służącą.

Obraził się, bo przecież od dziecka mi mówił, że ludzie muszą być wolni.

— Człowiek nie może kupować życia innego człowieka. Nie możesz tego zrozumieć, synku? Co jest warte takie życie, którego nie możesz przeżyć sam, bez pomocy innych?

— Tatusiu, wszyscy mają służbę. Tylko ty jeden się upierasz. Dagrún mówiła, że dziwaczysz.

— Może i dziwaczę, dziecko. Ale to nie powód, bym zmieniał swoje zasady! Pij mleko i kładź się spać! Jutro wypływamy!

No i siedzę na łodzi, opieram brodę o burtę i myślę.

Lubię się przyglądać ojcu. Jest wysoki, barczysty, bardzo szybki w ruchach. Na morzu się uspokaja. Mówi, że gdy patrzy w wodę, przestaje być sobą. Nieznośnym mężczyzną o zbyt wielu twarzach — tak właśnie siebie nazywa. Kiedy patrzy w wodę, staje się kroplą w morzu, częścią czegoś, co jest ważniejsze od niego. I matki powtarzały, i on sam przyznaje, że ma niejedno oblicze. Ja to widzę, wiem, ale mi nie przeszkadza. Odkąd sięgam pamięcią, mój ojciec jest taki, że jego życiem można obdarzyć wielu. I taki mi się podoba.

Jak steruje łodzią i wychodzimy cało nawet z najgorszej burzy; jak rozmawia z psem, a ten go rozumie; jak gra na lirze i śpiewa głosem tak mocnym, że czuję drżenie ścian; jak nie wpada w gniew, gdy coś mu zepsuje. Jak skupiony siedzi przy ławie i wycina nożem runy w drewnie, a potem bierze mnie na kolana i pokazuje, jak czytać i jak

ciąć. Gdy jesteśmy wśród ludzi, zawsze robią mu miejsce u szczytu stołu; milkną, gdy wchodzi do domów. Kiedy pracuje, słuchają go wszyscy i nikt się nie odważy słowem odezwać. Pytają go — on zna odpowiedzi. A jak nie zna, nie zmyśla. Mówi: „Odpowiem innym razem”. A jak się biją, bije najlepiej! Siedzę z boku i krzyczę: „Dołóż mu, tato!”, a on wygrywa. Gada nie tylko z naszym psem, gada też z ptakami. Siadają mu na ramionach, on pyta, one albo skrzeczą, albo przekrzywiają głowy na „tak” i odlatują na „nie”.

Kiedy spytał, czy nie doskwiera mi brak przyjaciół, innych dzieci, odpowiedziałem:

— Po co mi przyjaciele, tato? Mam ciebie.

Lubię, gdy płyniemy z wyspy na wyspę, odwiedzamy krewnych. Ciotki o wielkich biustach i roześmianych, brodatych wujów. Bo ojciec nie nosi brody. Goli się, pokazując trójkątny podbródek przecięty długim dołkiem. Ciotki tulą mnie do piersi i ocierają łzy, szepcząc „moje ty biedactwo”, a ja uśmiecham się do nich, bo żadne ze mnie biedactwo, ale przecież nie chcę być dla nikogo niemiły. Karminą mnie słodkimi plackami, dogadzają. Z każdej gościny wracamy utuczeni, a ojciec śmieje się, że jak łódź od naszego ciężaru nie zatoni, to pomost na pewno się zarwie. Z radością wspinamy się na naszą skalistą wyspę, z radością wchodzimy do pustej chaty, której pies tak dobrze pilnował. Ojciec rozpala ogień, przeciąga się i mówi:

— Wszędzie mi dobrze, a w domu najlepiej!

I pies szczeka, a ja się śmieję.

Takie jest nasze życie i nic nie musi się w nim zmieniać. No, może gdyby jeszcze... Tylko że od czasu Emli już nie wierzę w matki. Nazywałem je matkami, te, co były po niej: Dagrun i Fridę, i Astę, choć te dwie przecież od razu uciekły. Mówiłem na nie „matki”, żeby dotrzymać naszej męskiej umowy, aby jemu nie sprawić przykrości. Zresztą przyzwyczailem się. Ale po Emli już tylko tak mówiłem, a nie myślałem. Wcześniej, gdy byłem mały, naprawdę wierzyłem, że każda jedna jest moją matką. W końcu to on kiedyś powiedział:

— Masz dziewięć matek, synku.

Więc wierzyłem. Ale kiedy Emla odeszła, przemyślałem to wszystko jeszcze raz i zrozumiałem: matka jest tym, co było przede mną, co mnie zrodziło, więc nie może nastąpić po mnie. A zatem do Emla się zgadza. Potem to już tylko umowa...

Pewnie, chciałbym, żeby była, ale nie jest to konieczne. W końcu wszystko, co niezmiennie w moim życiu, to on — ojciec.

— Ja też mam tylko ojca, jak ty — wyszeptęła mi Thora do ucha.

Poznaliśmy się tamtej wiosny, w Lade, gdy z thingu przywieźliśmy Dagrūn. Ja miałem dziewięć lat, Thora sześć. Ja byłem synem Tjostara, Thora córką Hakona. Jej ojciec był królem, a mój jego doradcą.

Nie, mój był czymś więcej. Nie mówiłem? Tjostar był pierwszym godim w Trondelagu*. Najważniejszym kapłanem Odyna odprawiającym obrzędy dla wszystkich Panów Północy.

Nasi ojcowie rozmawiali o czymś szeptem, naradzali się w otoczeniu kilku możliwych, głowy pochylone, jedna przy drugiej. A Thora i ja w drugim krańcu wielkiej halli szeptałyśmy do siebie. Poznanie Thory było dla mnie odkryciem. Na wyspie mieszkaliśmy sami: ojciec, ja i pies. Znałem dzieci, widywałem je u ciotek i wujów, ale niewiele z nimi rozmawiałem; nudziły mnie. Chłopcy biegali z drewnianymi mieczami i robili hałas, a dziewczynki chichotały i chowały się za sukniami matek. Co to za towarzystwo? Thora była inna.

— A masz jakąś matkę, Thoro?

— Miałam. Ale umarła, jak byłam mała. Teraz mam służące, ale ciiii... nie mów nikomu... — zbliżyła buzię do mojego policzka — nie lubię ich.

* Trondelag — dzielnica Norwegii położona wokół Trondheimsfjordu. Tam w czasie akcji książki znajdowała się siedziba króla Hakona Dobrego i najsilniejszej wówczas politycznie grupy możnowładców, zwanej tutaj Panami Północy lub jarłami Trondelagu. Lade, Frosta — główne osady Trondelagu. We Frosta odbywało się zgromadzenie jarłów Trondelagu.

— My nie mamy służby. Ojciec nie pozwala.
— To masz lepiej, Einarze. Dużo lepiej. Twój ojciec jest bardzo mądry.

— Skąd wiesz?

— Słyszałam, jak mój tata mówił do jarla Sigurda: „Nie wiem, co zrobić, musimy spytać Tjostara”.

— Zawsze go pytają, to jego praca.

— A mówił ci, że będzie wojna?

— Mówił, mówił. A bo to pierwsza? Nie bój się, Thoro. Jesteś jeszcze mała, to może nie pamiętasz, ale ja i ojciec już niejedną wojnę wygraliśmy dla twojego taty.

Thora pokiwała głową tak zapamiętała, że aż jasne włosy spadły jej na twarz. Patrzyła na mnie jak w tęczę, a ja prostowałem plecy i robiłem dobrą minę.

— Mój ojciec niewiele mi mówi. Właściwie nie rozmawia ze mną. Wiem tyle, co usłyszę... — powiedziała po chwili.

— A mój mówi mi wszystko. Wszystko.

Skłamałem, bo chciałem, żeby jeszcze raz spojrzała na mnie z takim podziwem jak wcześniej. Ale zamiast podziwu zobaczyłem w jej niebieskich oczach smutek. I mnie samemu zrobiło się jej żal.

Gdy po skończonym thingu wyruszaliśmy do domu, Thora machała mi ręką, stojąc we wrotach dworu swego ojca. Przyszła służąca i zabrała ją do środka. Patrząc na to, jak córką króla rządzi zwykła służka, pomyślałem, że w tym, co mówi ojciec, coś jest. Nam służka niepotrzebna. Jesteśmy wolni, on i ja.

Ojciec nie lubi świata, ale kocha życie. O swojej pracy mówi „robota”. Kiedyś powiedział, że najchętniej rzuciłby robotę, zabrał mnie i psa na łódź i wypłynął z nami w morze.

— Ciągłe pływamy, tato.

— Ale nie tak, Einar. Pływamy po coś, dokądś, a ja chciałbym popłynąć bez celu, dla samego żeglowania. Woda, wiatr, horyzont! Człowiek za dużo czasu poświęca na obsługę życia. Roboty, zdo-

bywanie jedzenia, robota. Żyjemy w mroku, a prawdziwe życie jest obok nas.

— Jakbyśmy mieli służbę, to więcej czasu zostałoby dla nas...

— Nie zaczynaj! Chcesz być taki jak oni?

W głębi duszy chciałem. Trochę chciałem. Ale za nic w świecie bym się nie przyznał do tego Tjostarowi.

— Tato, na czym polega twoja praca? Co ty właściwie robisz?

— Gadam z bogami.

— O! Ze wszystkimi?

— Zależy od tego, co mam do załatwienia.

Uciął rozmowę, zamknął. Ale czasami zupełnie inaczej podchodził do pracy.

Raz do roku, u progu lata, na naszą wyspę przyływały tłumy. Ojciec rozpałał olbrzymi stos przed świątynią, ludzie z pochodniami obchodzili wyspę, tańczyli wokół ognia. On wchodził do środka, gromkim głosem pytał o coś bogów, a gdy wychodził, unosił ramiona w górę, krzyczał, śmiał się. Święto radości, długiego dnia*. Nie spał wtedy kilka nocy z rzędu, nie jadł, a mimo to miał siły za dwóch. Widziałem uniesienie, ogień w jego oczach, łunę bijącą od niego. Porwał mnie w górę, unióśł wysoko nad głową i potrząsając mną, krzyczał:

— Einar! Siłą życia jest życie!

— Co robisz, tato?!

— Żyję!...

— Twojemu ojcu bogowie dają siły za trzech... — mówiła Emla albo któraś z wcześniejszych matek, kiedy spotykaliśmy się przy ogniu, o poranku.

— Praca, praca jest moim powołaniem — mówił on sam w te dni, gdy nie wspominał, że najchętniej by ją rzucił. — Dar, dar,

* Akcja rozgrywa się w zachodniej i północnej Norwegii, gdzie latem są białe noce.

synku. Jedni dostają dar silnych ramion i będą najlepszymi wojownikami na świecie, inni dostają dar pięknego głosu i ludzie będą płakać ze szczęścia, słuchając ich pieśni. A ja mam dar rozmawiania z bogami. Albo raczej słuchu, bo lepiej niż inni słyszę, co do nas mówią.

— A ja, tato? Jaki ja mam dar?

— Ty masz dar ojca — mruknęła z kąta matka.

On spojrział na nią, ona się skuliła, wyszedł.

Tyle oblicz Tjostara, ile dni spędzonych razem.

Gdy tylko zacumowaliśmy łódź w Lade, podbiegło do ojca dwóch ludzi i pilnie prosili go o spotkanie.

— Tjostarze, jesteś nam potrzebny, sprawy się bardzo komplikują.

Ten niższy niespokojnie rozejrzał się wokół, na przystani było trochę ludzi.

— Zapraszam cię do mojego domu, konie czekają.

— Nas, Ormie. Jestem z synem.

— Przepraszam, małego oczywiście bierzemy ze sobą.

Ojciec krzywi się przelotnie. Nie lubi, gdy ktoś mówi o mnie „mały”. Sadza mnie na koniu przed sobą i jedziemy za tamtymi. Domostwo wielkie. Służby oczywiście mnóstwo. Orm, bo on tu jest panem domu, każe podać nam wieczerzę i przegania wszystkich. Siedzę u krańca stołu. Ojciec, Orm i ten drugi, co ma na imię Asbjorn, rozmawiają. Z początku ci dwaj co rusz odwracają się w moją stronę i ścisząją głos. Ale później, gdy widzą, że ojciec mówi przy mnie głośno, przestają się pilnować. Trochę się nudzę, trochę słucham.

— Król upiera się przy swoim. Nie chce ustąpić. Jarl Sigurd mówił mi, że jak nie zmieni zdania, to czeka nas wojna domowa.

„Wojna domowa” — to samo mówił kiedyś ojciec przez sen. Rzucił się, krzychał. Emla trzymała go z całych sił, żeby nie rozbił głowy o ramę łoża. Jarla Sigurda znam, to ojca przyjaciel. A król to przecież tata Thory.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [e-booksweb.pl - audiobooki, e-booki](#).